

Spowiedź Lucjana Skobiela



Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Pauksza

SPOWIEDŹ LUCJANA SKOBIELA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-64-7

Copyright © Eugeniusz Pauksza

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

TERAZ, gdy dom stał milczący i pusty, upodobał sobie przesiadywanie do późnej nocy w pokoju zajmowanym zazwyczaj przez Gosię z mężem. Ciepły kolor ścian, dywan, rozrosła palma przy oknie, kilka barwnych abstrakcyjnych obrazów, tapczan z cepeliowską narzutą, łagodne światło stojącej przy fotelu lampy, stolik z radiem i adapterem, wszystko to tworzyło przytulny, intymny nastrój. Nawet mrok gęstniejący po kątach nasyczał się ciepłem.

Dzisiaj przywitał tę atmosferę serdeczniej niż zazwyczaj. Sporo czasu minęło od chwili, gdy przestępując próg mieszkania otrząpywał płaszcz z lepkiego śniegu i ocierał chusteczką zziębniętą twarz. Umył się, przebrał, zjadł już w kuchni podaną przez Anielcię kolację, a jeszcze nie mógł złapać oddechu ani wyzwolić się od poczucia śmiertelnego znużenia. Duszą się robiło na dworze od samego widoku nisko przygiętego ku ziemi, nabrzmiałego chmurami nieba, dławila nawilgła papka sypiąca na asfalty i chodniki i przemieniająca się natychmiast w gęste, lepące się do nóg błoto. Ledwie się przywłókł do domu, każdy stopień na trzecie piętro sprawiał mu fizyczny ból. Usta rozwierał jak karp wyrzucony z wody, dłonie wilgotniały od potu.

Wzdrygnął się na to niemiłe wspomnienie, kilka razy zaczerpnął powietrza, wreszcie odetchnął swobodniej. Do fotela przysunął stolik, złożył na nim zabrany z przedpokoju plik gazet. Pełne wargi poruszyły się, szepnął półgłosem; dziwacznie zabrzmiał ten szept wśród ścian:

– Ejże, Lucek, coś się z tobą dzieje?

Nie musiał odpowiadać na to pytanie. Od z górą roku serce niedomagało, przyplątywało się jedno za drugim, jakiś niedowór klap, miażdżycy, z nią za pan brat dusznica bolesna, przy której atakach za nic nie można zaczerpnąć powietrza do płuc, znienacka wyskakująca arytmia, bitemia, coraz częściej pojawiające się stany lękowe. Doszło tak do zawału, ledwie się z niego wygrzebał. Przez całe życie stroniąc od lekarstw, w odwecie za poprzednią swą wstrzeźliwość łykał teraz pastylki, odmierzał krople mikstury, pozwalał nakłuwać się zastrzykami. Czasami pomagało, kiedy indziej nie zdawało się na nic. Niech tylko nadciągnęła podobna dzisiejszej pogoda, pojawiały się wraz z nią objawy niewydolności serca, budząc poczucie apatycznej beziły.

Rozejrzał się. Światło spływające od żyrandola nasycalo wnętrze męczącą intensywnością kolorów. Przeszedł ku drzwiom, przekręcił taster. Tak lubił, leciutko różowy ciepły krąg wokół fotela, dalej przyjazny półmrok.

W mieszkaniu panowała cisza, zza ściany sączyła się daleka muzyka. Anielcia najpewniej już wyszła, i tak zasiadywała się teraz późno jak nigdy, pewnie jej Gosia zleciła nad nim specjalną opiekę... Poczciwa Anielcia, zatroskana była, że on dzisiaj mizernie wygląda, nakazała zażywać lekarstwo. Ale lepiej, że już jej nie ma. Jest teraz sam, zupełnie sam w całym mieszkaniu Witków.

Jeżeli w Zakopanem równie nieznośna pogoda, to się im nie udało tym razem. Styczeń w pełni, a chłapa jak w listopadzie. Zięb, plucha i te szare, brudne chmurzyska zwisłe nad ziemią. Coś nietęgo z klimatem, zmienia się najwyraźniej, kiedyś poznańskie styczenie bywały mroźne, w słoneczne dni urywał się wtedy z wykładów, ganiał na łyżwach po azetesowskim boisku przy kolejowych torach.

Może mu się tak zresztą wydaje? Może on sam tylko się zmienił, inaczej spogląda dziś na pogodę? Często nie poznaje przecież sam siebie. Świat stał się inny, ale najwięcej zmian nastąpiło w nim samym. Toleruje dziś to, na co kiedyś się zżymał, znajduje blaski w tym, co przedtem rysowało się cieniem.

W Zakopanem... kto wie, może tam najcudniejsza pogoda. Nie był na Podkarpaciu od lat i już nie będzie. Tę kartę również należy zapisać na rzecz bezpowrotnej przeszłości. Lekarz aż dłońmi zamachał, gdy mu wspomniał, iż chętnie by przeszedł się Krupówkami, wjechał kolejką na Gubałówkę, bo o Kasprowym sam już nawet nie myślał. Mowy nie ma, to jakby udawać się na własny pochówek.

Witkowie wyjeżdżają co roku. Ledwie dzieciaki nieco podrosły, zaczęli je zabierać ze sobą. Stąd taki spokój i cisza w domu, momentami aż w uszach świdruje. Nie wiadomo, jak się tam urządzili, sezon w pełni. Gosia zresztą na pewno sobie poradzi, Witek jest bardziej fajtlapowaty, musi więc być praktyczna za dwoje. Pewnie po matce to odziedziczyła wraz z krwią...

Sentymentów rodzinnych także jej brak po matce. Mogłaby już napisać, tydzień przeminął od ich wyjazdu. Wie, jak on zawsze się niepokoi, ciekaw jest wieści. Mogłaby, pewnie, że mogłaby. Wiele rzeczy powinna uczynić, a jej nawet przez myśl nie przejdą. Czy ta praktyczna obojętność również w nią spłynęła wraz z mlekiem Lucyny?

Coś niby uśmiech przewinęło pomiędzy pełnymi wargami, które nie straciły nic z dawnych kolorów. Niewiele było tego karmienia, szybko zaczęła grymasić, choć pokarmu nie brakło. Małą przestawiło się na butelkę. Lucyna była wygodna, wtedy śmiał się jeszcze, gdy mówiła, że nie chce mieć skutkiem karmienia obwisłych piersi. Śmiał się, choć nie pojmował. Przecież to było dla ich dziecka. Uległ, jakże by nie miał ulec, jeszcze się nie zarysowały szczeliny pomiędzy nimi, jeśli gdzieś nawet czały się nieuchwytnie cienie przyszłych konfliktów, będąc wciąż zakochany, nie umiałby ich wytropić. Gotów był przyznać Lucynie rację. Szkoda piersi, uwielbiał je, pełne, delikatne, poddawały się miękko wargom...

Coś się jednak nowego musiało zdradzać już wtedy, z przyjściem Gosi na świat. Urzeczony był widokiem pokracznego maleństwa, czerwonego na ciałku, z zapalem pakującego własną stopę do ust. Obok Lucyny w jego uczuciach pojawiło się coś innego. Właśnie ta mała brzydula, z kępką jasnych włosów na pomarszczonej główce, zapamiętała w rozwrzeszczaniu przy każdym zmoczeniu pieluszki. To uczucie miało niepostrzeżenie narastać, by potem uwięzić go, wpływając na każdą chwilę życia, zjawiając się przed pamięć w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Nie mogło być inaczej, skąd by się wzięła później rozpacz oddalenia, wyczekiwanie, tęsknota, te uczucia, których nie przytłumić nie mogło, nawet lęk nieznanego, potężniejący z każdym dniem mijającym od końca wojny, a przybliżającym spotkanie. Bo jemu pozostał przynajmniej obraz małej, uśmiechającej się czarnymi oczkami i pękatą buzią do wysokiego cienia, który przechylał się nad łóżeczkiem, biegającej wesoło po przydomowym trawniku, rzucającej się ku ojcu z radosnym pokrzykiwaniem. Ona tymczasem była jeszcze wtedy nazbyt mała, aby zachować coś więcej niż wątłutkie, niewymierne wspomnienie. Może i tego nie stało. Nie dość było bolesnego przeczucia tej jego obcości, czy tylko obojętności dla córki, a tu myśl dręczyła się jeszcze innymi wizjami, umysł zaś obrachowywał z przezimną logiką, co wiezie ze sobą temu dziecku, wychowanemu w komforcie. Najgorszy był jednak ten właśnie niepokój, wynikający ze świadomości jego dla niej obcości. A jeszcze lęk, czy nie zdąży najkrótszą drogą ku zagładzie uczuć, wypastowanych w smrodzie i ogłupieniu więziennej celi, w brawurze i nędzocie partyzanckiego życia, w czepianiu się kurczowym tej jego jedynej nadziei...

Gdy rojenie zetknęło się wreszcie z rzeczywistością, gdy to obce wszak jeszcze dziecko stawiało przy zabieraniu gwałtowny opór, wierzgało, kopało, ryło ostrymi pazurkami jego twarz, darło się niemieckimi pokrzykami, że nie chce, że on jest zły, wstrętny, przeżył wtedy chwilę załamania, moment rozpaczliwej depresji, chęć panicznej ucieczki, tak niepojęty wydał mu się ukazany brutalnie kontrast realnej sytuacji z wypiełgowanym w udręce obrazem. Na domiar w tym dziecięcym, przykrym pisku usłyszał jakby echo głosu tamtej kobiety. Wypuścił z objęć szamoczącą się dziewczynkę, stał jak przykuty, siebie samego nie mogąc rozeznąć w chaosie skotłowanych, bezradnych myśli.

Nikt mu nie pomógł, ci z misji też się cofnęli o krok, jakby pojmując, że nikt tu nie może nic podpowiadać, doradzać, że ten mężczyzna jest i musi być sam, tylko sam, w plątaninie myśli i uczuć, ze swymi rozsypującymi się w pył nadziejami i wzbierającym bólem. Cierpiał wtedy jak nigdy wcześniej ani nigdy potem, w głowie czuł pustkę, w sercu

chłód, przeraźliwe zimno, jedna myśl wybijała nad inne, czy powinien, czy ma prawo, czy może skazywać i ją i siebie na wieczne szukanie, rozterki, konflikty, na szarpiący niedosyt, na niewiedzę, po co wszystko potrzebne, komu nieść ma choćby namiastkę szczęścia. Czyż to ma sens, czyż ma jakikolwiek sens zabierać obcą dziewczyninę, wyrosłą we wrogim świecie, zabierać po to, by skazać ją może na nieodnalezienie już nigdy własnej ojczyzny ani własnej rodziny, bo nad każdy okrucieństwo budzącego się uczucia mocniejsza będzie pamięć tego momentu, tej rozpaczliwej walki z przemocą jak grad spadłego nagle nad jej życie wychudzonego, z pałającymi oczyma człowieka.

Cóż właściwie przeważało?

Miłość ojcowska piastowana, rozdmuchiwana przez lata, egzaltowana przez oddalenie i sycenie się marzeniami, rozsypywała się tam, u stóp jasnej willi z wykuszami szerokich okien, w skotłowanej dysharmonii pokrzyków dziewczyny, która nie mogła być tamtą miłością, dlatego, że się stawiała jej zaprzeczeniem. Nie zaistniały chyba inne racje niż napór kanonu tradycji; ani by podejrzewał, że to być może tak mocne, patriotyczne slogany od małego wpajane w duszę, zasysane z każdym oddechem, mdłe często i nudne jak znana pozytywka. Chyba naprawdę to jedynie, bo gdyby nawet nie zachowanie małej, objawiana przez nią obcość i wrogość, co ostatecznie, choć bolesne, mogło być zrozumiałe, to silniejszy nad wszystko byłby napór nienawiści wznieconej w nim pogłosem tamtej kobiety w okrzykach małej. Ten pogłos zabijał w nim ojca, niedorzecznie zmieniając kierunek uczuć szaleńczą myślą, że to nie może być ona, ta wyjąca historycznie, bluzgająca obcymi słowami, Margeritte, inna, zupełnie inna od tamtej Małgosi, która wypatrywała za nim, wygnańcem, zza sztachet przydomowego ogródka...

Małgosia czy Margeritte? W wagonie jechała wtulona w kąt przedziału, w oczach jej olbrzymiały, wciąż rosły równie silne nienawiść i groza, zmagaly się decyzje buntu i bezwład strachu. Nie rozumiała czy nie chciała rozumieć, co do niej mówi, ale nie odwracała ciemnych oczu, źrenice się rozszerzały, połyskiwały. On pierwszy uciekał wejrzeniem, odwracał głowę. Aż ją zmorzyło znużenie, nadmiar przeżytych wzruszeń, chaos kataklizmu, który nadpłynął tak nagle wśród pogodnego dnia. Spała nerwowo, krzyknęła raz poprzez sen, wyciągniętą dłońią zatrzepotała w jakiejś rozpaczliwej obronie. Ścisnęło mu się serce, ale już nie odwracał się, przechylony do przodu, w mdłym świetle intensywnie przypatrywał się jej twarzy, w nabrzmiałych od płaczu policzkach, w napuchłych powiekach i ponadgryzanych wściekłością wargach szukając znajomych rysów, wspomnienia chwil nad małym, białym łóżeczkiem.

Koła wagonu dudniły na spojeniach szyn, na tle ówczesnych warunków luksusowa jazda w wygodnym przedziale nabrzmiewała minutami i godzinami, on zaś wciąż wpatrywał się w twarz przycupłej w kącie dziewczyny. I nic, ciągle tylko chaos, rumowisko pragnień i nadziei.

Nie rozeznawał się w gradacji przeżytych wzruszeń, nie oddzielał kształtu poszczególnych wydarzeń. Nakładało mu się wszystko jedno na drugie, jak w odbicie z kliszy w zepsutym aparacie, przyjmującej na siebie serie kolejnych zdjęć: Radosny niepokój przybliżenia się decydującego momentu, potem bolesna katastrofa, splątany ciąg myśli, ledwo zwalczone pragnienie gwałtownej ucieczki, wreszcie decyzja, przeblysłk zdziwienia na potulność i niemal pokorę krewnych Lucyny – może był to po prostu strach pobitych, i pokonanych – sceneria luksusu willi i otoczenia dodająca upiornych kolorów i tak już koszmarnego scenie, teraz jednostajny rytm kół odmierzających przestrzeń, niespokojna twarz drzemiącej dziewczyny.

Słyszał, że noce potrafią być czasami nieskończenie długie. Zaznał prawdy takiej nocy na sobie. To krótkie zapadnięcie letniej czerni nad ziemią przemieniło się w znojne przetrzymywanie dotychczasowego życia. I to nie w jakimś usystematyzowanym ciągu wydarzeń dobrych i złych, triumfów i klęsk, ale w jednym paśmie chaosu, gmatwaniny wrażeń, wśród

roztańczenia wyobraźni współ z jednoczesną świadomością realnego zradzania nowych treści i uczuć, całej gamy ewolucji i wzruszeń, kompleksów i urojeń, obsesji i rozterek. Jedna noc dłuższa i trudniejsza nad dotychczasowy ciąg dni, miesięcy i lat. Jakaś nagła nieobecność piastowanej tak troskliwie przez czas rozstania miłości, zastąpiona przerażeniem odkrywania siły tego, co obok miłości rosło nienawiścią. Odkryte już we wrzaskach małej echa głosu Lucyny omal nie przesądziły wszystkiego jeszcze tam, nad granicą. Teraz ten pogłos wzbogacał się w towarzystwo, w bezwiedny ruch śpiącego dziecka, nie różny od drgnień nagiego ramienia tamtej. Przy głębszym oddechu leciutkie wydęcie warg, Boże miłościwy, jakże podobne, gorzej, to samo... Koszmar, piekło nie urojone...

Dziś już mówi swoim wspomnieniom: Lucyna. Wtedy w pociągu, a jeszcze i długo potem nie potrafił tak nazywać swej byłej żony. Nawet nie Luizą. Wtedy, jeśli w nim żyła, to jedynie jako kształt nienawiści. Teraz ma i to poza sobą. On się zmienił, czy wszystko się dokoła zmieniło? Daleko odbiegła ta nienawiść, pozostały żal, wzruszenie ramion, zasępienie w zdziwieniu, jak mógł być kiedyś tak dalece ślepy. Nie chciała Gosi karmić piersią, aby jej nie zwiotczała. Biała pierś, kształtna, pulsująca pod dotykiem jego dłoni.

Przeciagnał ręką po czole. Wilgotniało od potu. Znów to uczucie duszności. Nie można się w pokoju odseparować, oddzielić od zewnętrznej atmosfery. Niskie chmury cisną wszędzie, chore serce najlepiej to odczuwa. Bo nie wspomnienia przecie tak go wzruszyły, nauczył się już beznamietnie rozmyślać. Na pewno nie. Pogoda. Niskie ciśnienie. Kiedyś nie rozumiał tych rzeczy, śmiał się z nich, tak jak nie wiedział, nie odczuwał, że w ogóle ma serce. Kiedyś...

U sąsiada za ścianą nabrzmiewała muzyka, uwielbiano tam słuchanie radia, nie krępowano się przyciszaniem. Słuchał przez chwilę melodii, jazz, zżymnął się lekko; zaraz uśmiechnął się sam do siebie. Gdyby znał tę muzykę w młodych latach, szalałby za nią, ma w sobie coś podniecającego, dziwaczny rytm, bliski rytmowi wydarzeń współczesnego świata, gwałtownemu, nasycenemu niepokojem.

Dłoń leniwie sięgnęła po szklaneczkę, potem po syfon. Naciśnięty spust odpowiedział wypryskiem wypełnionej pęcherzykami wody. Pił łakomie, choć wstrzemięźliwie, drobnymi łykami. Jakże to już dawno, gdy wszystko robił pośpiesznie, łykał haustami, bawił się do utraty sił, nie znał miary w wysiłkach. Jeszcze łyk, mniej duszno. Okien nie warto otwierać, tam mglista, tłamsząca wolę i ciało wilgoć, sącząca się zewsząd. Teraz drażetkę, belergał, po cóż sięgać od razu po ostrzejsze środki, na nie zawsze jest czas. Nic nie boli, a że serce jak z waty – to tylko pogoda, ten niski pułap chmur, wilgotność i mgła.

Pot zniknął, czoło jest lekko chłodne. Myśl pod nim jasna, pulsuje żywa i niesforna wciąż jeszcze jak dawniej, jakby zrywać się chciała w takt tej dziwacznej muzyki, tego gardlanego śpiewu, przetkanego pochrypami, nonsensownego, czymś zarazem drażniaco urzekającego.

Jazz. Było już coś podobnego. W tych nakazach popartych banknotem albo niedwuznaczną groźbą, by muzykanci zwiększyli tempo. Migał smyczek, pianista podrygiwał jak podłączony do elektrycznego kontaktu, zatracala się melodia, zostawała oszałamiająca, zwariowana galopada. A oni ją wytrzymywali, wywijali partnerkami, do ostatniego tchu, do mokrateńkiej koszuli, do wirowania w głowie. Kiedy indziej wprawiali w ruch płytę na nienormalnych obrotach. Ciągłe zbyt małe tempo, gdy rozpiera energia, ochota życia.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI